

*Marek Zatwarnicki*

# **NOWA KARTAGINA**

*Dopiero po bitwie wróg ponownie staje się człowiekiem*

# Wprowadzenie

W trzecim wieku przed naszą erą na śródziemnomorskiej scenie politycznej pojawiły się dwie nowe potęgi – Rzym i Kartagina.

Kartagina była wielokulturową republiką, zajmującą północne wybrzeże Afryki, Sycylię, Baleary, fragment Hiszpanii oraz Sycylii. Ze względu na fenickie pochodzenie mieszkańców państwa nazywano Punijczykami. Flota imperium nie mogła równać się z żadną inną, a stolica Kartagina była najwspanialszym miastem Morza Śródziemnego.

Republika Rzymska była z kolei najszybciej rozwijającym się państwem na świecie. W ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat Rzym opanował całą Italię. Sukcesy zawdzięczał surowemu prawu, doskonałej armii oraz wyjątkowo agresywnej postawie.

Między obydwoma państwami dochodziło do coraz poważniejszych nieporozumień. W 264 roku p.n.e., wskutek konfliktu o sycylijskie miasto Messanę, wybuchła pierwsza wojna, nazwana później punicką. Po dwudziestu dwóch latach i ponad milionie ofiar, walki zakończyły się zwycięstwem Rzymu. Poniżona Kartagina straciła jedną trzecią swojego terytorium i znalazła się na skraju bankructwa.

Punicki generał Hamilkar Barkas, wraz z zięciem Hazdrubalem i synem Hannibalem w 237 p.n.e. postanowił ratować ojczyznę. Zebrał armię i ruszył na Hiszpanię, grabiąc wszystko na swojej drodze.

# Rozdział I

## Pan śmierci

### Środkowa Hiszpania

#### 233 p.n.e.

Pamiętam jedynie urywki... Przecież to wszystko zdarzyło się tak dawno. W jaki sposób pięciolatek może przeżyć wszystko w sposób typowy dla dorosłego? Po tylu latach pamięta się jedynie uczucia towarzyszące człowiekowi, nie wydarzenia. I tym razem nie potrafię przełamać tej bariery. Mimo to, postaram się powrócić do tamtych czasów. Robię to dla was.

W tamtym czasie Kartagina przeżywała swój renesans, państwo rosło z dnia na dzień, skarbiec wypełniał się złotem. Wszystko zmierzało w kierunku właściwym dla południowego imperium. Nie miałbym nic przeciwko temu. Tu nie chodzi o zazdrość, czy uważanie się za lepszego. Ale nie musieli robić tego kosztem Hiszpanii, kosztem mojej ojczyzny!

Sukcesy okupiono morzem krwi. Kolejne dzikie hordy przelewały się przez Iberię, niszcząc domy setek niewinnych ludzi. Afrykańskie mocarstwo zwróciło się ku środkowej Hiszpanii, a jego żołnierze i najemnicy niszczyli wszystko na swojej drodze. Była to siła niemożliwa do zatrzymania, ale, mimo to, nie poddawaliśmy się od razu. Taka była postawa naszego ludu. Walczyliśmy do końca, wierząc w sprawiedliwość bogów. Szkoda, że z przeznaczeniem nie da się wygrać.

Ostatnią przeszkodę na drodze niezwyciężonego punickiego wodza Hazdrubala Baraki stanowiło niewielkie miasto położone na przełęczy między dwoma górskimi łańcuchami. Z całego dzieciństwa tylko tamto miejsce pamiętam doskonale. To właśnie tam zorientowałem się, że jedno złe wspomnienie może zniszczyć tysiąc dobrych.

Osada nie wyróżniała się niczym szczególnym, przynajmniej jak na tę część świata. Zamieszkiwaliśmy ją my, Celtyberowie, jedno z wielu plemion zajmujących Półwysep Iberyjski. Luźna zabudowa pięła się ku górze, wspinając się na niewielkie wzniesienie. Miasto podzielono na kilka poziomów, a dokładniej na trzy. Pierwszy, otoczony potężną, drewnianą palisadą był jedynie osłoną, pozwalającą przedłużyć stawiany opór w wypadku szturm. Reszta osady zyskiwała cenny czas pozwalający na przygotowanie się. W okresie pokoju sadzono tam najróżniejsze rośliny, ale obecnie na błoniach stacjonowało kilkanaście oddziałów wojowników, ściągniętych ze wszystkich podległych nam terytoriów. Dziesiątki namiotów ukazywały potęgę miasta-państwa. Tysiąc żołnierzy uzbrojonych w kolczugi, skórzane zbroje z metalową

osłonką zawieszoną na piersi, hełmy z czerwonymi pióropuszcami, rogami i piórami oraz w dziesiątki zagiętych mieczy, włócznie czy okrągłych tarcz. Wszystko to mogło przstraszyć każdego najeźdźcę, ale nie zadufaną w sobie Kartaginę.

Na kolejny poziom składały się gęsto zabudowane, drewniane chatki. Lepianki pięły się ku górze, opierając się o skały tworzące stok góry. Wyżej znajdował się pałac. Przed kompleksem wzniesiono koszary i olbrzymi plac, służący do musztrowania najdoskonalszych ze wszystkich wojowników – gwardzistów. Wszystko to należało do człowieka władającego okolicznymi włościami. Taxon, bo tak nazywano wodza, zamieszkiwał długą, pięknie zdobioną chatę wzniesioną ze świeżych, dębowych bali. Dla mnie był kimś więcej niż tylko przywódcą. Był moim ojcem.

Wtedy nic nie przypominało wesołej, beztroskiej atmosfery z czasów pokoju. Powietrze przesyciła woń krwi i siarki, panowało ogólne przygnębienie. Kilka tysięcy cywilów kryło się na najwyższych poziomach obronnych, licząc na rychły powrót do domów lub oczekując śmierci. Punijczycy zniszczyli już hodowle i zasiewy, ale ludzi nie mogli pokonać tak szybko. Bo bogactwem tej ziemi byli właśnie mieszkańcy, którzy powinni zajmować się wypasem bydła i produkcją oliwek oraz znanej na całym świecie ceramiki. Budynki można było odbudować!

Bycie członkiem rządzącego rodu nie dało mi się we znaki. To było tylko pięć lat życia. Zresztą... Ktoś tak mały nie zapamiętuje, a może po prostu nie chce zapamiętać drobnych nieprzyjemności. Obficie zastawiony stół i pochwały były jedynymi przeżyciami wartymi wspomnienia. Ale tamtego wieczora miało być inaczej.

Ciemna, bezksiężycowa noc przywitała nas cichymi krzykami, odbijającymi się od górskich stoków. Leżałem wtedy w łóżku, przykryty kilkoma skórami. Zimowe, rześkie powietrze powinno uspić mnie w ciągu jednej chwili, ale wiedziałem, że nie powinienem spać tamtego wieczora. Bałem się, trząsałem. Niestety, miałem rację. Nie byliśmy bezpieczni! Moje obawy potwierdziły się kilka minut później. Pomimo młodego, dziecięcego wieku, chciałem użyć jedyne go znanego sobie przekleństwa. Zawisły nad nami ciemne chmury.

– Panie! - rozległ się gruby, chrapliwy głos dochodzący z korytarza. Poznałem go niemal od razu. Był to przyjaciel, przyjaciel rodziny i jej obrońca. Nie wiedzieć czemu wyszedłem z sypialni, zamierzając obejrzeć rosnącego Ibera. Podziwiałem jego błyszczącą zbroję. Wydawał mi się wysłannikiem niebios, wielkim i dobrym dowódcą.

Krótkie, dziecięce nóżki nie wydawały żadnych dźwięków. Byłem niczym cień wędrujący przejściami pałacu. Pokonałem odległość dzielącą

mnie od wielkiej sali z drewnianym tronem w centrum. To właśnie tam przyjmowano znaczących wysłanników.

– Hlawiusie? - rozległ się przygnębiony głos ojca. Taxon siedział na szerokim krześle, wpatrując się w jakiś nieuchwytny punkcik. Jedni powiedzieliby, że jest zamyślony, inni że niepokoi się, a niektórzy, że zwyczajnie oszalał. Niestety, w zaistniałej sytuacji wszystkie stwierdzenia byłyby jak najbardziej na miejscu. Oblicze zagłady poddanych niszczyło ojca jak nic innego – A więc tak ma być? O bogowie, dlaczego akurat ja? Dlaczego za naszych czasów? - władca westchnął, zamierzając przejść do konkretów – Ilu dokładnie?

Rodzic zdawał się przewidywać odpowiedzi przyjaciela. Tak, to byli bliscy sobie ludzie. Kiedy umarła matka, ojciec stracił rozum, zaniedbując codzienne obowiązki. Hlawius nie zamierzał dawać ludziom nawet najmniejszego powodu do buntu. Przejął władzę, by oddać ją kilka miesięcy później. Nikt inny nie byłby zdolny do czegoś takiego. Każdy skorzystałby z okazji, obwołując się nowym panem.

Niewielka latarnia na stole oświetliła zniszczoną twarz generała. Był to człowiek liczący sobie około czterdziestu, może czterdziestu pięciu wiosen. Jego z pozoru brzydka, zmęczona i pełna blizn twarz odstraszała, ale wystarczyło brzmienie głosu i wszystko się zmieniało. Jego włosy posiwiały. Ciągłe narażanie się na niebezpieczeństwa nie mogło poprawiać stanu jego zdrowia. To samo tyczyło się szerokich wąsów zachodzących na usta.

Dowódca gwardii stał na baczność, smutny i niepewny przyszłości.

– Tak, panie - wyszeptał przelękając ślinę – na murach było około czterdziestu strażników. Nie powinniśmy być na nich źli. Przysnęli, ja zrobiłbym to samo. Ludzie nie śpią normalnie, boją się. Została połowa i...

– Wychłostać ich, zwykle zmęczenie nie powinno przesądzać o losach oblężenia. Ja nie przespałem ostatnich dwóch tygodni i jeśli zajdzie taka potrzeba, nie prześpię i roku! – wykrzyczał rodzic. Wydawało mi się, że widzę łzę na jego policzku. W oku wodza pojawił się błysk oblędu.

– Chcę tego z całego serca. Naprawdę chciałbym móc ich wychłostać... – narastało napięcie, poczucie niepokoju. Nawet wtedy wiedziałem, że nic nie będzie już takie samo... ale nie mam takiej możliwości. Spotkałem się z nimi jako młodzieniec. Mój ojciec lubił podróże. Wśród piasków Numidii dostrzegłem atak podobnego oddziału. To byli... Nie, to są zabójcy doskonali, cisi i sprytni, ale przede wszystkim niewidzialni. Podchodzili zwierzę na odległość dziesięciu stóp. Dziesięciu

stóp! Nie muszę mówić, co było później. Właśnie takiego oddziału użył Hazdrubal - dowódca skrzywił się, próbując wykonać ukłon.

– I... - ciągnął ojciec, ukrywając twarz w szerokich, żołnierskich dłoniach. Wiedziałem, że rozsadza go nienawiść.

– Zabili ich, otwierając bramę. Jazda punicka wdarła się do miasta, to samo dotyczy lekkich hoplitów. Ewakuowałem obóz, ale nikt nie zna poniesionych przez nas strat. Obstawiamy mury na drugim poziomie, ale oni najpewniej już tam są. Gwardia musi wspomóc wojsko. Punijczycy przeszli pierwszą linię. Musimy reagować szybko. Przepraszam za ociąganie się, ale nie wierzę już w ocalenie – wtedy nie znałem dramatycznej wymowy prostych słów, nie wiedziałem, że wyrazy mają tak wielką moc. Sądziłem, że liczy się jedynie sposób ich wypowiedzienia i gestykulacja.

Wódz osłabł, upadając na posadzkę. To było straszne widzieć go w takim stanie.

– Hlawiusie... Zbieraj ich. Rozlejemy morze krwi! Zatopimy ich w morzu własnej krwi! – zerwał się zupełnie odmieniony. Nawet jeśli było to szaleństwo, to i tak nie pozostawało im nic innego – niech wiedzą, że nie poddam się bez walki! Miecz Taxona rozleje szkarłatną krew ten jeden, ostatni raz. Służba?! Gdzie moja zbroja?! Przyjacielu biegnij dowodzić i giń jak prawdziwy Iber! Dołączę do was za kilka chwil – Coś umierało. Dlaczego otaczający nas świat musiał się skończyć? Nie zdążyłem go nawet poznać.

– Panie...

– Taxonie. Tak mam na imię, mój dowódco.

– Nie giń, jesteś naszą nadzieją! Dopóki będziesz żył, zawsze pozostanie nadzieja, niegasnąca nadzieja.

– I właśnie to zamierzam udowodnić! Będę naszą nadzieją. Nie stchórzę. W tchórza nie uwierzy nikt, ale w bohatera jak najbardziej. Wolę zginąć na polu chwały, niż chować się w pałacu, udawać służbę czy zostać jeńcem! Mam o kogo walczyć – wtedy jaszczce nie znałem pojęcia śmierci. Kojarzyła mi się ze znikaniem. Matka zniknęła kilka lat wcześniej, ale ojciec nie mógł powtórzyć jej błędu. Nie chciałem zniknięcia...

– Chyba nie zdążę cię powstrzymać.

– Ruszaj do naszych! - Hlawius skłonił się z szybkością najbiegłego sługi. Wąsaty Iber przebiegł obok, nawet mnie nie zauważając. Początkowa wiara i pozytywne emocje zostały wyparte przez wątpliwość. Ojciec ruszył w jego ślady – Esquinie? - imię zniknęło w przestrzeni, odbijając się od ścian korytarza. Zimny dreszcz przeszedł mi

po plecach. Znałem właściciela nadzwyczajnego określenia, znałem go lepiej niż ktokolwiek inny. Taxon dostrzegł mnie w półmroku. Esquin... Powtarzano mi, że zostanę kimś wielkim, że za moich rządów osiągniemy szczyt świetności. Esquin miał stać się Esquinem Wielkim. Niestety, nie wiedziałem ,o co chodziło. Prosty niewolnik przetłumaczyłby to słowo jako „byczy róg”. Było to najdoskonalsze, dosłowne tłumaczenie przydomka. Miałem przebijać wrogów, dziurawić najtwardsze zbroje.

– Tak, ojcze?

– Co robisz o tak późnej porze? Połóż się, tej nocy czeka nas wiele wrażeń. Nie chciałbym martwić się o twoje bezpieczeństwo. Ojciec wróci nad ranem. Zjemy śniadanie, porozmawiamy. Czeka cię kolejna lekcja fechtunku. No, zmykaj! - Starał się uśmiechać, ale było to jedynie umiejętnie maskowanie łez i braku wiary. Nie dawał mi wyboru. Zareagowałem w jedyny, możliwy sposób. Posłuchałem. Krótkie nóżki tupały, zbliżając się do drzwi sypialni. Popchnąłem drzwi, wszedłem do środka... Ale coś odciągało mnie od łóżka. Miejsce spoczynku wydawało się takie mroczne i nieprzyjazne. Wolałem badać otoczenie. Złamałem zakaz. Ruszyłem lniane zasłony z miejsca. Moim oczom ukazał się widok placu przed pałacem. Dalej znajdowały się domy i... czerwona chmura ognia, zbliżająca się z każdą sekundą. Dym powiewał nad pierwszą linią zabudowań.

– Oddział, baczność! - rozległy się przytłumione krzyki Hlawiusa. Zastęp kilkunastu elitarnych wojaków ruszał na ostatnią z bitew. Po kilku chwilach z głównych drzwi posiadłości wybiegła jeszcze znana mi postać. Był to pięćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany na wzór greckiego wojownika. Miał na sobie brązowy kirys, hełm koryncki, zasłaniający całą twarz oraz barwny pióropusz, pasujący do białej peleryny.

– Ojcze... - wyszeptalem zmęczony bezsennością. Niestety, było już za późno. Wódz zniknął w wirze walki... Odszedł, a mnie dręczyło okropne przecucie, że właśnie znika na zawsze.

Co działo się później? Mogę się jedynie domyślać. Zasięg wybuchających pożarów pozwalał oszacować odległość, w jakiej toczyły się walki. Dopiero po wielu latach udało mi się ułożyć wszystko w logiczną całość. Ale teraz nie to jest ważne. Opowiadam historię znaną mi jedynie ze wspomnień pięcioletniego chłopca, będącego wtedy na dobrej drodze do zostania sierotą. Moi rodacy na pewno walczyli długo i dzielnie, ścierając się na polu chwały, krwi, wewnętrznosci i ekskrementów. Ale nic nie jest wieczne. Iberowie musieli wycofywać się coraz to wyżej i wyżej, trzymając się głównej ulicy miasta. Potem było coraz gorzej. Poddani ojca umierali jeden za drugim. Wróg palił

domostwa. Dziedzictwo setek lat i dziesiątek pokoleń zniknęło w ciągu paru sekund. Po godzinie pierwsi sprzymierzeńcy pojawili się na głównym trakcie, zaczynającym się przed samym pałacem. Nawet najodważniejsi zostali złamani. Uciekali przed najszybszymi z nieprzyjaciół. W końcu jedna z postaci zatrzymała się, pociągając za sobą drugą. Byli to Taxon i Hlawius. To musieli być oni. Bo kto inny pozwoliłby sobie na tak bogatą zbroję? Miałem ochotę płakać. Poczujęm przyływ gorąca. Nie wiedzieć czemu wydawało mi się, że jest jeszcze nadzieja.

Przyjaciele wymienili między sobą kilka spojrzeń, otworzyli usta. To dziwne, że słyszałem ich w takim hałasie.

– Zatrzymam ich, ty ratuj siebie, panie – krzyczał dowódca gwardii, hamując gwardzistów.

– Zabraniam ci! To jest rozkaz! - przekonywał ojciec, ale uparty, żywiołowy Hlawius nie zwrócił na niego żadnej uwagi.

– Podziękujesz mi w niebie. Za mną! Rogaci, za mną! Ku śmierci i chwale! - połowa żołnierzy zawróciła, znikając w tłumie nieprzyjaciół.

To było jak walka owiec z wilkami. Przez chwilę panował tam całkowity chaos. Dziesiątki, jeśli nie setki, ludzi zabijały się na moich oczach. Niestety, teraz byli jedynie cieniami. Wynik starcia był jasny. Zawsze wygrywał silniejszy. Na szczęście, to nie o zwycięstwo chodziło.

Kartagińczycy zabili ich wszystkich.

W czasie okupionym życiem całego oddziału ojciec przygotował obronę, ustawiając się na schodach, prowadzących do głównego placu. Walka rozgorzała na nowo. Cieniutka linia broniących się nie pozwalała, by fala atakujących wlała się do środka placu. Krew bryzgała na lewo i prawo, jej strumienie spływały w dół osady duchów. Wtedy po raz pierwszy ujrzałem piekło. Wiedziałem już, że nie zamierzam tam trafić. Niestety, im bardziej czegoś nie chcemy, tym częściej się to przytrafia. Nie mogłem pozostać obojętnym. Pięcioletni chłopiec wybiegł na korytarz. Spostrzegłem kilku służących biegających w popłochu. Zachowywali się w nietypowy sposób, kradli, bili się, próbowali uciekać, a nawet mdleli. Unikając niedawnych przyjaciół, dostałem się do wrót. To dziwne... W takiej chwili ludzie powinni jednoczyć się, a nie zwalczać nawzajem. Pchnąłem dębowe drzwi. Do środka wdarła się ściana rozgrzanego powietrza. Otoczenie dosłownie płonęło. Powietrze zostało wypalone. Zapach siarki stał się wszechobecny.

Schowałem się za pobliskim słupem, unikając trudnego do zniesienia, strasznego gorąca. Rozciągał się stąd widok, pozwalający ogarnąć wzrokiem całe, mroczne dzieło Kartaginy. W jaki sposób można było być



dumny z czegoś takiego?! Setki płonących chat, tysiące zabitych. Osada budowana przez stulecia znikła w ciągu jednej nocy, stając się jedynie wielką pochodnią. Tę historię napisano krwią. Ginęli ostatni ze znanych mi ludzi, przycichały ostatnie krzyki. Najpierw zniknęły nasze flanki, wrogowie przedarli się na plac. Otoczono niedobitków, wyrzynając jednego po drugim. Wrogowie nie zachowywali się jak ludzie, nie brano jeńców. W końcu na scenie okrutnego przedstawienia pozostał tylko jeden, ostatni z rodaków. Możliwe, że był to ostatni z żywych mieszkańców potężnego państwa. Grecka zbroja odbijała światło wysokich płomieni, zaschnięta krew tworzyła wielkie plamy widoczne z dużej odległości. Nie przypominał człowieka. Zastanawiam się, w jaki sposób rozpoznałem w nim ojca. Może był to instynkt, przywiązanie, albo synowska miłość?

Mimo to, nie czułem kompletnie niczego. Wypełniała mnie pustka, życie traciło sens. Bo jaki jest sens istnienia w takiej rzeczywistości? Na co mi świat, w którym wszystko może runąć, bo ktoś potężny tak postanowił?

Dobito zarówno tych proszących o śmierć, jak i tych chcących żyć. Taxon gotował się do walki. Oszalał, nikt sam nie walczyłby z taką potęgą. A może kochał mnie tak bardzo? Może chciał pogrzebać całą armię imperium? Zawsze wierzyłem w drugą z wersji.

Ciężkozbrojni włócznicy wystawili włócznie. Ojciec obracał się wokół własnej osi, próbując obmyślić samobójczy plan powalenia jak największej ilości z nich. Niestety, nie taki los mu pisano.

– Żołnierze, bacność! - nierówne kłęby punickiego wojska uporządkowały się, tworząc niewielkie oddzialiki. Wojacy oddalili się od wodza. Ojciec opuścił miecz. Wydawało mi się, że zaraz runie Jeszcze nigdy nie widziałem go tak wyczerpanego – Klękajcie przed swoim dobroczyńcą, dowódcą, zdobywcą i człowiekiem, który podniósł nasze imperium z upadku. Oto Hamilkar Wielki, Hamilkar Piorun, Hamilkar pogromca Iberii! - najemnicy rzucili się na ziemię, część z nich wiwatowała, reszta szemrała między sobą. Ostatnią grupę tworzyli świeży rekruci, ściągający tu z niedawno podbitych obszarów.

W okolicach schodów prowadzących na plac pojawiło się kilka barwnych postaci, powstało niesamowite zamieszanie, połączone z uczuciem oczekiwania. Wrogowie usuwali ciała martwych pobratymców, tworząc okrutny korytarz zbudowany specjalnie dla swojego pana. Pierwszy raz odnalazłem w sobie takie uczucie, potem nawiedzało mnie jeszcze wiele razy. Byłem wściekły, ale jednocześnie podziwiałem Hamilkara. Wydało mi się, że ich dowódca patrzył w moją stronę, że przez chwilę nasze spojrzenia skrzyżowały się. Mimo to, nie

kazał mnie zabić. Może miał w tym cel, może właśnie stałem się częścią jakiegoś większego planu? Dlaczego nie skorzystał z okazji? Byłem przecież jednym z tysięcy dzieci zabitych w ciągu ostatnich lat. To ukłucie w żołądku. Przejrzał moją duszę, a ja jego. Pomimo dziecięcego wieku, zrozumiałem, że to ktoś wyjątkowy, ktoś o głębszym spojrzeniu na świat, ktoś zdolny namawiać ludzi do pokonywania słabości, a nawet oddawania życia. Twarz arystokraty pozostawała obojętna. Nie wzruszał się problemami zwykłych ludzi. To było bardzo smutne.

– Oszczędziliście go? - ktoś musiał podać odpowiedź – Bardzo dobrze, bardzo dobrze... Wodzowie nie powinni ginąć z rąk żołnierzy. Zwykłem z nimi rozmawiać. To ciekawe. Wolę zabić ich osobiście, ale nie z nienawiści czy wściekłości. Po prostu czuję, że tak będzie lepiej, że lepiej się zrozumiemy. Niebieską krew powinien rozlewać jedynie posiadacz niebieskiej krwi i nikt więcej.

Na widok nowego zagrożenia ojciec podniósł się, stając w pełnej gotowości. Widziałem dumę bijącą z jego oczu. Nie poddawał się, chciał walczyć do samego końca.

– Morderca! - wykrzyczał nieugięty Taxon, spluwając pod nogi Punijczyka.

– Wizjoner – odparł nieprzyjaciel ze stoickim spokojem – Staliście na drodze do ekspansji, na drodze do postępu. Okazaliście się słabsi, a przetrwają tylko najsilniejsi. Tak jest od zawsze i tak będzie...

– Czujesz się silniejszy, bo zabijaliście dzieci? Bo gwałciliście kobiety? Bo mordowaliście wojowników, gdy ci spali w łózkach? Jeśli to nazywasz siłą, to wolę być słaby. Zresztą... I wy skończycie w ten sposób! Zawsze znajdzie się ktoś brutalniejszy! Zdolny do coraz to potworniejszych zbrodni.

– Taka też jest twoja osada. Lepsza, ale nie mocniejsza. Nie... Ty nie jesteś słabym człowiekiem. Pomimo zmęczenia, złamania i tysiąca ran, stoisz tu, gotowy walczyć o swoje wartości. Doceniam to i szanuję takich ludzi. Jest to siła większa od ostrzy tysiąca mieczy. Ale ja mam ich pięćdziesiąt tysięcy. Niestety, już zawsze będziemy stać po dwóch stronach barykady... - zaprzestałem słuchania, słowa nie docierały do mojej świadomości. Słyszałem każdy dźwięk, ale nie zamierzałem zastanawiać się nad jego sensem. Moje spojrzenie utkwilo w pięknie ubranym, przystojnym młodzieńcu stojącym za niszczycielem znanego mi świata.. Miał w sobie to coś. Wydawał się mądrzejszy nawet od przełożonego. Fioletowa peleryna oraz lśniący puklerz wskazywały na wysokie urodzenie. To musieli być krewni, jeśli nie ojciec i syn. Bystry

wzrok i pewność siebie. On rozumiał brutalną i nieludzką logikę swojego rodzica. Nie był tak wyrafinowany, ale pełny wewnętrznej siły i wiary, że wystarczy chcieć i walczyć, a wszystko stanie się możliwe. To musiał być syn Hamilkara, to był Hannibal!

– Po co to, po co to wszystko? Czy niszczenie mieszkańców pomoże ci w odbudowie idealnego świata?

– Nie. Jeśli mam być szczery, to samo w sobie zabijanie nie sprawia mi szczególnej przyjemności. Niestety, to konieczne. Jesteście jedynie przykładem, padło właśnie na was. Bogowie przesądziła. A mimo to, czuję do tego miejsca niespotykaną sympatię. Jego zarządca jest szlachetnym człowiekiem. Dam wam jedną, ostatnią deskę ratunku. Stań ze mną do walki! Tu i teraz, tylko my dwaj. Zwycięzca zadecyduje o losach miasta. Jeśli wygram ja, po kilku dniach obserwator nie dostrzeże tu śladów życia. Natomiast jeśli jakimś cudem to ty przebijesz mnie swoim ostrzem, oszczędzę resztki mieszkańców, wcielając ich do Republiki Kartaginy.

– A mam wybór? - odwarł wściekły Taxon. Czułem ból w każdym jego słowie. Z przyjemnością zagryzłby uzurpatora.

– Zawsze możesz poddać się bez walki... - wycedził Afrykańczyk.

– W życiu! – musiał czuć się poniżony. Niestety, zrozumiałem to dopiero, kiedy mnie poniżono, o wiele później – Nigdy nie dam się złamać!

– Doprawdy płynie w tobie gorąca krew Ibera – roześmiał się Hamilkar. Na pierwszy rzut oka był to sarkazm, ale, mimo to, uważałem słowa za w pełni szczere – Hazdrubalu – tu wódz zwrócił się ku bogatej postaci stojącej po jego prawej ręce – podaj mi hełm, miecz i tarczę! Był to zięć zbrodniarza, uczestniczący w każdej z jego kampanii. Stali się nierozłączni, a ich pomysły równały z ziemią całe miasta i państwa.

Hazdrubal nałożył hełm na głowę Hamilkara. W ręce kartagińskiego generała trafił piękny, grecki miecz wykuty z najwyższej jakości żelaza. Arcydzieło musiało powstać w jednej z sycylijskich kuźni. Tarcza okazała się nie gorszej roboty.

Wtedy tego nie dostrzegalem, ale wynik od początku wydawał się przesądzony. Młodszy, sprawniejszy, ubrany w lepszą zbroję, ale przede wszystkim niezłomny Afrykanin bez problemu poradziłby sobie ze starym Iberem. A jednak życie nieustannie nas zaskakuje. Ojciec chciał pokazać, że nie musi tak być. Skąd brała się w nim taka siła?

– Zaczynamy! – wrzasnął Taxon, ruszając do pierwszego natarcia. Na osłonie broniącego się powstała podłużna szrama. Spodziewałem się błyskawicznego kontrataku, szybkiej wymiany ciosów i zaskakujących

sztuczek z bronią. Ku mojemu zdziwieniu nie zdarzyło się zupełnie nic. Taxon nacierał nieprzerwanie, zasypując Punijczyka coraz to cięższymi ciosami. Kartagińczyk bronił się z coraz to większym trudem. Ojciec ciął niemilosiernie, znajdując się u szczytu możliwości. Wiedziałem, że zaraz opadnie z sił. Bojowy szal nie mógł trwać długo. To była kwestia krótkiej chwili. Życie obserwujących sprowadzało się wtedy tylko do tego pojedynku. Walczący wydawali z siebie niezwykle dźwięki, towarzyszące nadludzkiemu wysiłkowi. Więc to tak wyglądali ścierający się bogowie?

W końcu Afrykańczyk cofnął się o krok. Była to wyraźna zagrywka psychologiczna, sugerował, że nie radzi sobie, że musi ustąpić pola. Niestety, była to jedynie iluzja. Hamilkar przekreślił się wokół własnej osi, zamachnął z całej siły, a następnie uderzył ojca w głowę. Rozległo się głośnie, metaliczne brzęknięcie, ale Iber utrzymał się na nogach. Metalowy hełm nałożony na głowę iberyjskiego wodza zdał najważniejszy z testów. Byłem z niego taki dumny, ale patrzenie na to wszystko sprawiało mi ból. Musiał przegrać. Bo w jaki sposób miałby wygrać z taką siłą? To smutne. Nie wierzył w niego nawet pięcioletni syn...

Potem nie potrafiłem wyróżnić nikogo wygrywającego. Przeciwników ogarniało zmęczenie i rutyna. Cios, obrona, kontratak. I tak w kółko.

I nagle: „Bang!”, coś błyszczącego wylatuje w powietrze, lądując niemalże u moich stóp. Było to ostrze pięknego miecza greckiej roboty. Więc niemożliwe stało się prawdą?! Hamilkar został bezbronny! Wioska wydawała się ocalona. Prawie w to uwierzyłem...

Ojciec zaatakował natychmiast. Tu nie liczyła się szlachetność. Nie ufał oszustowi. Okrągła tarcza nie potrafiła uchronić kartagińskiego wodza. Punijczyk klęczał, czekając na ostatni cios. Widziałem przerażenie w jego oczach i wściekłość w spojrzeniu należącym do Ibera. Nastął czas zemsty. Zaczynałem cieszyć się. Ojciec miał zabić kolejnego wroga. Przecież to taka piękna chwila. Udało nam się ocalić zgliszcza i pałac! Mogliśmy zostać królami nieistniejącego tworu. Bo ile warte jest państwo bez narodu?

I właśnie wtedy zdarzyła się tragedia, mająca wstrząsać państwami, tragedia mająca decydować o losach całych narodów i wszystkimi wydarzeniami, jakich świadkiem stała się potem ludzkość. Włócznia wzięta się znikąd... Cieniutki grot śmignął w powietrzu, wbijając się w plecy Taxona. Nie potrafiłem zrozumieć dlaczego, przecież walka powinna być uczciwa... Zakrwawione ostrze przebiło zużyty puklerz, wychodząc z drugiej strony Taxona. To był koniec, on zniknął...

Ojciec runął na kolana, uzbrojenie wypadło mu z rąk. To był najsmutniejszy widok w moim życiu. Wielki wojownik upokorzony przed

tchórzem. Afrykanin nie dawał na siebie czekać. Zerwał się momentalnie, udając, że nic się nie stało. Obrzucił żołnierzy spojrzeniem pełnym nienawiści. Tamtego wieczoru wszyscy usłyszeli o tym, w jaki sposób pokonał wodza upadającego miasta.

– Przykro mi... - wyszeptał zdrajca.

– Jesteś nikim, jesteś mniej niż nikim! Mały człowieczek opętany manią wielkości! Jesteś doprawdy biedny, najbiedniejszy na świecie! Tylko biedak pragnie więcej! Gardzę tobą! - krzyczał umierający, dławiąc się krwią. Sam widok sprawiał mi niewyobrażalny ból. Osunąłem się w dół, nie potrafiłem powstrzymać płaczu. Chciałem zasłonić oczy dłońmi, ale nie mogłem. Ciało sparaliżowane strachem nakazywało mi patrzeć.

Kartagińczyk starał się uśmiechać, ale obelgi sprawiły, że jego twarz wykrzywił grymas. Ta twarz miała w sobie coś nadzwyczajnego. Była taka prawdziwa.

– Ale i tak mam więcej od ciebie – wzrok sam skierował się ku właścicielowi włóczni. Wydawał się dziwnie znajomy. Młody, bogato ubrany... Niestety, hełm zasłaniał jego twarz. Jediną cechą charakterystyczną stanowiła droga, purpurowa peleryna. To był syn Hamilkara, to był Hannibal! Prawdziwy zabójca, zdrajca – dotrzymam słowa, twoja wioska spłonie doszczętnie... Miecz! - zawołał zepsuty arystokrata. Do jego rąk dostarczono piękne, długie ostrze.

– Nie...

– Masz może syna? - spytał niespodziewanie nieprzyjaciel. Wstrząsnęły mną dreszcze. Wydawało mi się, że patrzy w moją stronę.

– Nie... Nie! Nie mam – bronił się ojciec, wypluwając z siebie resztki życia.

– Spokojnie, wychowam go jak należy. Zostanie jednym z dowódców sprzymierzonych oddziałów, tych pochodzących z Iberii, rzecz jasna. O ironio, będzie zabijał byłych sprzymierzeńców. – Nie zrozumiałem ani słowa, ale sam sposób ich wypowiedania wydawał mi się nie w porządku. Musiałem uciekać. Ale ojciec! Kochający syn nie powinien pozostawiać go na pastwę losu.

– On cię znajdzie... Znajdzie i zabije... Moje potomstwo zniszczy twoje! To będzie koniec Kartaginy!

– Spokojnie, starcze, nie chcę sprawiać ci większego bólu. To nie powinno zboleć. Krótka chwila i stracisz czucie, kilka kolejnych i dusza wyjdzie z ciała. Nie powinniśmy zwlekać! - wrzasnął i zamachnął się mieczem. Wszystko zawirowało. Potężny cios uderzył Taxona w szyję, skracając go o głowę. Polał się strumień krwi. Zawalił się znany mi świat.

Niestety, nie potrafiłem tego zrozumieć. Ja nie chciałem tego rozumieć! Dlaczego dzieje się w ten sposób?! Zniknął i tyle... Pustka, okropna czarna dziura wysysająca radość! Byłem zły. Rozpierało mnie nieznanie wcześniej uczucie. Uczyłem się nienawidzić!

– Nie! - wrzasnąłem, ale nikt nie usłyszał mojego głosu wołającego o pomstę do niebios.

Bezlitosny Kartagińczyk nie zamierzał oszczędzać nawet ciała. Chciwa ręka prześladowcy zdjęła z palca zamordowanego piękny pierścień, stworzony przez miejscowego mistrza jubilerstwa. Znałem go doskonale. Nie wiem czemu, ale to właśnie ten przedmiot najmocniej kojarzył mi się z ojcem. Wielki, zielony szmaragd zniknął w fałdach szat zdobywcy.

– I na co się gapicie?! - wrzasnął Hamilkar niby opętany – do roboty! Nikt nie powinien przeżyć dzisiejszego dnia. Zabraniam brania jeńców. Bogactwa należą do ludu, czyli was. Zasłużyliście sobie. Gwardia?! Do pracy. Spalicie tę chatę! - tu zakrwawiona ręka zwróciła się ku drzwiom pałacu – dzieciaka oszczędźcie, przyda się. Chwała, chwała niezwyciężonej Kartaginie! Śmierć wrogom Imperium!

– Chwała! - zakrzyknęło kilkaset głosów. Nikogo nie obchodziła fałszywość i kruchość kartagińskiej potęgi. Musiałem uciekać. Paraliż zniknął momentalnie. W obliczu zagrożenia zawsze zrywałem się w ostatnim momencie, unikając zagłady. To był instynkt. Pchnąłem drzwi, wypadając na korytarz. Wpadłem na jakiegoś sługę. Głupiec zamierzał wydostać się frontowymi drzwiami. Słyszałem jego śmierć... Tak, to było jedynie niewarte uwagi jęknięcie. Jego dusza stała się jedynie jedną z tysięcy innych.

Króciutkie, zmęczone nóżki pokonywały kolejne stopnie dzielące mnie od wyjścia... Czułem goniące mnie płomienie. Ktoś podpalił dom. Kolejne krzyki informowały o śmierci następnych niewolników. I w końcu wybawienie! Pchnąłem tylne, ukryte drzwi, wypadając na dwór. Uderzyłem twarzą w błoto. Zrezygnowany błąkałem się wśród okolicznych krzewów, zastanawiając się nad dalszym postępowaniem. To był obłęd, to było piekło! Coś poruszyło się w trawie. Tak, byłem tego niemal pewien. To musiał być najgorszy ze znanych mi drapieżników.

– Człowiek! – krzyknąłem z przerażeniem. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Więc to miał być koniec? Pięć lat życia to stanowczo za dużo?! Taki koniec przygotowali mi bogowie?! Przeklinałem ich, nienawidziłem ich wszystkich. Okazali się słabi, nie potrafili poradzić sobie z ochronieniem pięcioletniego chłopca, o reszcie wierzących nie wspominając. Opowiadano mi o wspaniałej przyszłości. Gdzie ona była?! Przewróciłem się na ziemię, cofając

z wielką ostrożnością.

– Stój! - rozległ się silny, męski głos. Nie zareagowałem. Jedynym następstwem słów stały się wielkie łzy spływające na moją nocną szatę – Stój! Nie zrobię ci krzywdy – w jego głosie było tyle szczerości. Zwolniłem – Esquin, prawda? - Nie, nie mogłem ufać obcym. Zerwałem się z miejsca, ale on zdążył mnie pochwycić. Wrywałem się, gryzłem, ale nie przynosiło to żadnych efektów – jestem wojownikiem twojego ojca! - Ojciec? Co znaczyło słowo ojciec?! Teraz było jedynie synonimem bólu, pustki i straty! Nienawidziłem go!

– Jeśli tak, to dlaczego go nie ocaliłeś?! - wrzasnąłem na cały głos. Wtedy po raz pierwszy byłem naprawdę wściekły. Bolało mnie wszystko!

– Bo kazał mi cię ocalić, dba o ciebie. Naprzeciwko pałacu znajduje się ścieżka. Poprowadzę cię nią. W pobliskiej wiosce mieszka moja ukochana. Zajmie się tobą, rozpoczniemy nowe życie...

– Nie... Nie! Ty jesteś zwykłym tchórzem! Uciekłeś od ojca, bo bałeś się śmierci! Zdrajca, zdrajca!

– Poświęcę je za ciebie, jeśli zajdzie taka potrzeba – odparł nieznajomy z determinacją – a teraz... teraz... - chyba nie potrafił nabrać powietrza – a teraz... - dławił się. Bałem się jeszcze mocniej – w drogę... - wyszeptał, uginając kolana. Z jego szyi sterczała potężna, czarna strzała. Widziałem już takie. Mieli je jedynie gwardziści Hamilkara! Żałowałem poprzedniej decyzji. Ściągnąłem śmierć na niewinnego człowieka. Sam stałem się mordercą! Nie byłem lepszy od wrogów. Gdyby nie ten krzyk, wszystko by wyglądało inaczej.

Za pobliskiego cedru wyłonił się łucznik w greckiej, lśniącej zbroi. Padłem na ziemię. Tym razem nie było nawet cienia wątpliwości. To był koniec. Czekwały mnie lata wychowania na kartagińskim dworze lub szybka śmierć zadana ciężką strzałą.

– Doprawdy szczęśliwy zbieg okoliczności... - zaczął wojownik, uśmiechając się w podejrzanym, złowieszczy sposób – pobawimy się trochę. Zawsze chciałem zobaczyć bebechy kogoś tak małego – nie rozumiałem słów, ale przekaz wydał mi się jasny. Spanikowałem. Ale zaraz, zaraz! Przecież zaledwie stopę dalej znajduje się wybawienie! Zmarły musiał mieć przy sobie jakąś broń. Raczkowałem, przywarłem do ciała martwego żołnierza, dobrałem się do twardej, skórzanej pochwy. Była szansa!

W środku znajdowało się nieco stępiałe, wyjątkowo ciężkie i nieporęczne iberyjskie ostrze. Próbowałem szarpać. Nie było efektów. Kolejne szarpnięcia, trzecie, czwarte! Łzy spływały strumieniami, musiało się udać. Łucznik nie zamierzał dać mi nawet najmniejszej

szansy. Teraz wiedziałem! Mógłbym służyć Kartaginie, byle nie zabrali mi ostatniego, co mi zostało. Nie chciałem, by odbierano mi życie. Za kilka minut życia mogłem zdradzić ojczyznę! Teraz to rozumiałem!

Najwyraźniej przeciwnik znalazł się tu przed wydaniem nowych rozkazów, nie wiedział o nakazie ocalenia chłopczyka. Wtedy widmo śmierci ukazało mi się po raz pierwszy. W powietrzu błysnął ciemny sztylet, runąłem na dół, pociągając za sobą miecz. To wszystko działo się tak szybko. Olbrzymi ciężar, morze krwi, brak dostępu do powietrza i w końcu ciemność. Dlaczego teraz i tutaj? Chciałem przeżyć życie. Zastanawiałem się, czy zobaczę ojca. To było niesamowite uczucie. Pływałem, latałem, nie unosiłem się ani nie opadałem. Byłem wszędzie i nigdzie, w nieskończonym cieple...

Równie nagle co niespodziewanie gdzieś w oddali pojawiło się światełko, coś szarpnęło mnie w dół. Nie, to nie była jeszcze właściwa pora.

Wielkie, śmierdzące ciało miażdżyło moje kości. Wygrzebałem się, stając o własnych siłach. Rodziłem się po raz drugi. Mogłem stać! Po raz pierwszy cieszyłem się z tak błahych rzeczy. Oddech, krok, pojedyncza myśl... To wszystko było takie piękne. Uciekałem! Przeżycie stało się jedynym priorytetem. Pierwszy krok i... ciało pięciolatka upada twarzą w błoto. Bolała mnie głowa i noga. W obu miejscach pojawiły się cieniutkie, szkarłatne rozcięcia promieniujące bólem. Podniosłem się i runąłem, wstałem i upadłem, i tak w kółko, ale wciąż do przodu. To w skrócie historia każdego z nas. W końcu udało mi się utrzymać równowagę. Ruszyłem wąską, zarośniętą ścieżką wskazaną przez zmarłego sprzymierzeńca. Ostre, suche krzewy zostawiały na mojej twarzy cieniutkie, czerwone ślady. Zresztą i tak zaschła na niej krew umarłych. To było wstrętne uczucie.

Wiedziałem, że odwrócenie się w takim momencie zmieni całe moje życie. Czułem to, pomimo młodego wieku, ale ciekawość i tak wzięła górę. Przekląłem samego siebie! Nie powinienem był tego robić! Istotnie okrutny widok wart był tych kilku sekund. Nad miejscem, w którym jeszcze kilka godzin temu znajdowała się tętniąca życiem osada, teraz zawiesiła się jedynie potężna, zaczerwieniona chmura pyłu i dymu. Największe ognisko świata pochłaniało wszystko na swojej drodze. Pałac zdążył zniknąć w morzu płomieni... Nie było domu, nie było bliskich, nie było jedzenia, łóżka, kochających mnie ludzi ani ojca! Ta zniewaga wymagała krwi, wymagała morza krwi i nienawiści! Przysięgłem duchowi ojca, że za to zapłacę. Zaklinałem się, że zginą w męczarniach i to z mojej ręki. Zamierzałem zniszczyć najpotężniejszy ród świata... Ja ,Iberyjski sierota...



Zamierzałem zabić Hamilkara, jego zięcia Hazdrubala i jego syna,  
najgorszego z nich wszystkich... Hannibala!